№ 47.

WARSZAWA DNIA $\frac{11}{23}$ Listopada R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Korrespondencja z Boulogne.

(Dalszy ciąg).

Z wycieczki w przeszłość wróćmy teraz do kościołów bulońskich. Oprócz katedry Boulogne ma ich sześć. Kościoły to zupełnie nowe, dwa z nich tylko zbudowane w przeszłym wieku, cztery nie liczą więcéj nad lat kilka lub kilkanaście. Z tych zasługują na uwagę dwa poświęcone wielkim patronom Francji św. Franciszkowi Salezemu i św. Wincentemu à Paulo, oraz kapliczka świętéj krwi, mieszcząca relikwie które Godfryd z Buljonu po zdobyciu Jerozolimy przysłał był matce swojéj św. Idalji. Dodajmy jeszcze do tych kościołów liczne kaplice przy religijnych zgromadzeniach, których Boulogne posiada bardzo wiele.

Zgromadzenia kobiece poświęcają się wyłącznie nauczaniu dzieci, lub pielęgnowaniu chorych i kalek. Są tu między innemi Urszulinki, Augustjanki, Józefinki, Anuncjatki, Siostry z Nazaretu. Siostry dobréj Opieki *du bon secours* przeznaczone do pielęgnowania chorych po domach, siostrzyczki ubogich, których opiece powierzono dom przytułku, wzniesiony dla starców za miastem.

W wydziale naukowym Boulogne nie ustępuje wiele innem miastom Francji. Muzeum tutejsze założone w pierwszéj połowie tego wieku, w jedenastu salach czyli galerjach, mieści liczne zbiory archeologiczne jak niemniéj ciekawą kollekcję miejscowych ptaków i owadów. Szczególną uwagę naszą zwrócił bogaty zbiór przedmiotów etnograficznych, to jest ubiorów noszonych przez wszystkie niemal ludy Azji Afryki i Ameryki; ich sprzętów domowych i broni. Galerja obrazów posiada piękne próby szkoły flamandzkiéj, włoskiéj i francuzkiéj. Z téj ostatniéj zasługują na uwagę obrazy morskie Augusta Delacroix urodzonego w Boulogne.

Biblioteka publiczna liczy do 33,000 voluminów i około trzysta rękopismów zebranych po dawnych opactwach i klasztorach. Oprócz tego istnieją w mieście liczne towarzystwa naukowe. We wszystkich widać ruch i czynność, wszystkie rozwijają się i żyją pełnem życiem. Towarzystwo akademickie odbywa swoje posiedzenia, prowadzi naukowe korrespondencje z Paryżem i innemi miastami; koło literackie pracuje na polu belletrystyki, rolnicze urządza coroczne wystawy zboża, owoców i warzyw, podniecając szlachetne współzawodnictwo; towarzystwo przyjaciół sztuki, założone przed trzydziestu laty w celu rozpowszechniania smaku w sztukach pięknych, wystawia co lat parę na widok publiczny obrazy, rzeźby i rysunki, towarzystwo filharmonijne urządza liczne koncerta, towarzystwo pływaków wyprawia gonitwy morskie czyli *regaty*, przed oczyma zgromadzonego ludu; towarzystwo dobroczynności dostarcza pracy robotnikom i chleba biednym, obmyślając na ten cel zabawy i loterje. Towarzystwo pomocy dla rozbitków, utrzymuje w porze kąpieli morskich czujną straż nad kąpiącymi, dwóch najdzielniejszych pływaków okrąża bezustanku łódką całe wybrzeże morskie, spiesząc z czynną pomocą w razie wypadku. Towarzystwo to posiada przytem trzy statki, pod przewodnictwem biegłych żeglarzy, przeznaczone do ratowania rozbitych okrętów, a nad brzegiem ma dom przytułku w którym są przygotowane wszelkie przyrządy do przywracania życia utonionym. Owe posługi udzielane są bezpłatnie; żaden z członków nie przyjmuje osobistéj nagrody; ocaleni mogą tylko zapisać pewną kwotę na korzyść całego towarzystwa.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli o Boulogne lubo nacechowane poniekąd piętnem miejscowem nie ma jednak odrębnego charakteru. Wspomnione wyżéj zgromadzenia, towarzystwa i zakłady istnieją zarówno w innych miejscach. Wyższe społeczeństwo tutejsze w niczem się nie różni od społeczeństwa innych miast francuzkich. Istnieje tu przecież jedno

oddzielne społeczeństwo, zamknięte samo w sobie, odrębne całkiem od reszty miejscowéj ludności, odmienne postacią, strojem i obyczajem, pilujące święcie domowych swoich tradycji, słowem żyjące po dziś dzień, tem samem życiem jakiem żyli prajojcowie za czasów Godfryda z Buljonu. Mówimy tu o ludności rybaków.

Rybacy i marynarze bulońscy zajmują osobną część miasta na pochyłości góry od strony portu. Na samym wierzchołku wznosi się kościół św. Piotra owego patrona rybaków, który wprzód zapuszczał sieci w morze, nim go Bóg powołał do połowu dusz ludzkich. Kościół to obszerny i jasny, uwieńczony wysoką wieżą gotycką, zbudowany przed kilkunastu laty, za pieniądze rybaków bulońskich.

Zwiedzając wnętrze jego zwróciłam uwagę na maleńki statek z rozpiętemi żaglami, zawieszony u sufitu jako wotum. Dar to zapewne dziękczynny jakiegoś ocalonego rozbitka, jakiéj matki lub żony stęsknionéj za synem albo mężem. Patrząc na ten okręcik przedstawiłam sobie w myśli sceny bolesnego dramatu. A ileż tu na owych brzegach, odbyło się krwawych dramatów, o których świat nigdy nie słyszał. Ileż to razy biedna żona drży z trwogi przy domowem ognisku podczas gdy mąż walczy z rozhukanym żywiołem! ileż razy nieszczęśliwa matka zamiast syna którego wyprawiła na połów śledzi, za powrotem tuli do piersi martwe ciało topielca! I cóż dziwnego, że poczciwy ten lud narażony na ciągłe walki i burze, patrzący bez ustanku w nieskończoność oceanu, który jest dlań obrazem nieskończoności Boga, zachował w sercu głęboką wiarę religijną? Cóż dziwnego że w opatrzności jedyną pokłada nadzieję, że z Bogiem wszystko zaczyna i z Bogiem wszystko kończy? Dowodem tego owa pobożna procesja, która w trzecią niedzielę Lipca zstępuje z kościoła św. Piotra na brzeg morski, w porze rozpoczynającego się corocznego połowu. Na czele jéj postępuje liczne duchowieństwo, daléj cechy rybackie z chorągwiami, rybaczki w świątecznych strojach i niezliczone chmary dziatek. Podczas gdy kapłan święci morze, pobożna pieśń ludu rozlega się po falach, a echo gór nadbrzeżnych powtarza ją stokrotnie

Liczba rybaków zapisanych w porcie bulońskim, przechodzi 3300; łatwo ztąd wnosić, że z żonami i bardzo liczną dziatwą, rybacy stanowią prawie połowę całéj ludności miejskiéj. Posiadają oni dwieście statków, w których opływają ciągle brzegi, zajmując się połowem ryb i muszli. W właściwéj porze roku przedsiebiorą dalsze wyprawy aż do brzegów Szkocji i Norwegji na sztokfisze i śledzie; połów tych ostatnich przynosi około 3,000,000 frank. w każdym roku.

Za pobytu naszego nadszedł do portu pierwszy transport śledzi. Rybacy bulońscy wyprzedzili w tem innych, z całego wybrzeża, był to powód wielkiéj radości i tryumfu. Z niepojętem zajęciem patrzałam na tych ludzi krzepkich jak dęby, z cerą ogorzałą od wiatru i słońca jak pochyleni jeden nad drugim, ciągnęli do brzegu statki za grubą linę, wydając dziwny okrzyk podobny do naszczekiwania ogarów gdy doganiają zwierza. Kobiety i dzieci tymczasem zaległy całą przystań, a promień szczęścia ożywiał wszystkie twarze. Rybacy staczali co żywo beczki ze statków, drudzy podejmowali mokre sieci i oddawali żonom, które je zabierały do domów. Wśród gwaru i wrzawy ledwie że można było zrozumieć jakieś słowa, wszyscy wprawdzie mówili po francuzku, ale z tak dziwnym akcentem, że zdawało się jakby używali obcego zupełnie języka.

Patrząc na tych ludzi na wskróś przemokłych i ogorzałych, w ciemno brązowych kaftanach, w grubem i ciężkiem obuwiu, na te kobiety w spódnicach z ciemnego sukna, wyobrażałam sobie że siedziby ich muszą być zapewne ciemne i brudne, pozbawione wszelkiego wdzięku. Jakiegoż więc doznałam zdziwienia, gdy przechodząc raz wąziuchną uliczką po schodkach, prowadzącą z przystani do kościoła św. Piotra, spostrzegłam dwa rzędy skromnych lecz chędogich domków o piętrze, z zielonemi okiennicami. Na długich drągach, zatkniętych w oknach przeciwległych, zawieszone były sieci rybackie tworząc wzdłuż ulicy festony rozmaitéj wielkości. Sieci te maczane w smole, są koloru ciemno brązowego; snać kolor ten przypadł do smaku rybakom, gdyż i kaftany ich i odzież niewiast i dziatek, słowem wszystko co ich otacza ma po większéj części tę barwę.

W niektórych domkach okna były otwarte i drzwi uchylone do połowy. Przez te otwory widziałam izdebki czyste, wymiecione starannie, ściany oklejone kolorowym papierem, w oknach białe firanki, a gdzie nie gdzie kwitnącą geranią lub różę. Uważałam nawet łóżka przysłonięte kotarą perkalową w kwiaty i kołyski pokryte białym muszlinem, przez które n eraz przeglądała rumiana jak jabłuszko twarzyczka śpiącego dzieciątka. Gdzie rzuciłam okiem wszystko zapowiadało dobry byt, oraz wyższy stopień cywilizacji. Wiem jednak od miejscowego lekarza, iż lud rybacki nie skory do nauki książkowéj. Dzieci które są tu prawdziwem źródłem zamożności dla rodziców, od ósmego roku życia, pomagają ojcu w połowie ryb, dzielą z nim trudy i niebezpieczeństwa żeglugi. Tak wyćwiczone od dziecka, wychodzą też na biegłych rybaków i marynarzy. Z postępem czasu jednak i promień nauki wdziera się do tego pracowitego społeczeństwa. Będąc raz w kościele św. Piotra z uczuciem zadowolenia patrzałam na dziatwę rybacką, przybraną w świąteczne sukienki. Chłopcy pod kierunkiem dyrektora zajmowali prawą stronę, dziewczęta siedziały po lewéj pod dozorem dwóch Urszulinek. Dziatwa ta nadzwyczaj liczna, zajęła cały kościół, tak że dla starszych zabrakło prawie miejsca. Przyglądałam się z zajęciem pokornie klęczącym dzieweczkom, widząc w nich przyszłe gospodynie i matki rodzin, i owym chłopczykom w brunatnych kaftanikach, odgadując w nie jednym przyszłego admirała Francji.

(d. n).

POGADANKA TYGODNIOWA.

W tych dniach znów mnie napadł maruda weredyk. Spotkałem go w ogrodzie Saskim, rozprawiającego z kilkoma małemi chłopaczkami z wielkiem ożywieniem. Kiedym się zbliżył odezwał się z szyderstwem:

— Dobrze że cię spotykam mój nudziarzu, gawędziarzu i plotkarzu zarazem....

— Dziękuję za tak zaszczytne określenia méj literackiéj wielkości....

— Czyż nie prawdę mówię? — przerwał weredyk gawędzisz z urzędu, nudzisz z talentu a plotkujesz z obowiązku. Słusznie więc...,

— No, dobrze, dobrze mój nieznużony krytyku, pełen żółci, jadu i kwasu. U ciebie wszystko czarne, obsypane sadzami przesądu, co niby jak pochodnia migocze błędnem światełkiem nad drogami ludzkiego żywota. Ludzie zaś to anioły ciemności, lubujący się w złem, jak ryba w wodzie. Weredyk zaczął kręcić głową, wyjął szkiełka przymrużył oko i przyglądając mi się to z prawéj to z lewéj strony, szeptał:

— Dalipan, egzemplarz wyborny do obwożenia po całym świecie. Na klatce palnąłbym napis: naiwny sielankarz, żyje w krainie marzenia, a karmi się wyrobem różanych myśli. Daj pokój mój bracie, raz wstąp przecie w krainę rzeczywistości, bo jeźli nie porzucisz kaznodziejskiéj roli, wszyscy twoi czytelnicy odezwą się jednozgodnym chórem: szkoda czasu i atłasu. Ale wracając do rzeczy, czy wiesz o czem gawędziłem z tą młodzieżą, co idąc z daleka ogląda się wskazując na mnie palcami? Zaręczam cię że sławią mój rozum i wielkość poglądu na układ towarzyskiego porządku.

— Niezmiernie skromny jesteś w przypuszczeniach dotyczących własnéj osoby — odezwałem się z przekąsem zadowolony że mogę oddać pięknem za nadobne — ciekawym jednak niezmiernie przedmiotu waszéj rozmowy.

— Bardzo był zwyczajny — odrzekł weredyk ze złośliwym uśmiechem — mówiliśmy o rzemiosłach, do czego dała mi powód podsłuchana gawęda. Jeden z chłopczyków niekorzystnie odezwał się o garbarzach, łącząc ich z najwyższą wzgardą, z szewcami rymarzami i jeszcze innemi....

— No proszę — przerwałem — w tak młodych główkach i tak dziwne wyobrażenia. Zapewne wytłómaczyłeś im niestosowność takiego na rzeczy zapatrywania się.

Weredyk parsknął głośnym śmiechem.

— Za kogoż to mnie masz? — zapytał — czyż miałbym ciebie naśladować? Nie mój drogi, zdrowiéj na rzeczy poglądam przeciwnie rzekłem im:

— Wybornie dziatwo kochana. Tradycja to ołtarz niepokalanéj czystości i z pociechą widzę cześć jaką go otaczacie. Pracować ciężko umie najprostszy robotnik, a rzemieślnikiem zostać czyż to tak trudno? Myśl szlachetna, wzniosła, poetyczna, ucieka ze wstrętem od kominów buchających dymem zgrzyt pilnika razi ją, skóra mierzi, młot parzy, więc płynie w górę po nad gwar roboczego roju, i marząc choćby o niebieskich migdałach, starania prozaiczne spycha na dół, ciesząc się wycacaną rączką i spojrzeniem pogrążonem w dumaniu. Wprawdzie worki kurczą się, pustka goni pustkę, z długich surdutów powstają bonżurki, a z kołnierzyków po uszy wązkie paski jak tasiemka, ale człowiek żyje nie samym tylko chlebem i dla myśli musi coś poświęcić. Cóż więc jéj damy, gdy się wszyscy jak konie albo woły zaprzęgniemy do jarzma, ani miłego ani ponętnego? każdy stęka nad pracą, wyrobnik, rzemieślnik, prawnik, doktór, gospodarz, kancelista, mieliżbyście wy dobrowolnie skazywać się na tortury stękaniny?

Wyrzekłszy to — mówił daléj weredyk — chłopaczki aż pokraśnieli z radości i jeden odrzekł:

— Wszystko prawda co pan mówi. Mój ojciec zawsze się żali, że jest najnieszczęśliwszy z ludzi, bo powiada że inni nic nie robią a mają powozy, lokai, kucharzy, apartamenta, dają bale, podróżują, zjadają przysmaczki, a on jak koń pracuje od rana do nocy, jednak chodzi piechotą, żyje prostemi potrawami, mieszka w trzech pokoikach, raz tylko do roku sprawia bal na imieniny, był jedynie raz w Gdańsku, a ani razu nie zjadł nawet nogi morskiego raka, lub choćby łba żółwia co tak nęcą ciekawych do wystaw handli delikatesów.

— A widzisz — zawołałem— żeby nie pracował, toby miał czas jeździć, bawić się, zajadać przysmaki balować, ale praca zabiera mu wszystkie godziny życia i dlatego skarga jego zupełnie uzasadniona.

Niechże to będzie nauką dla ciebie, ty nic nie rób od rana do nocy, zostań kapitalistą odcinającym kupony i basta!

Chłopaczek westchnął — i po chwili odezwał się:

— Oj! żeby to jaka wielka sukcesja na mnie spadła, albo żebym największy los wygrał na loterji, to dopiero byłbym szczęśliwy!

W tych kilku słowach dzieciaka, mówił daléj weredyk streszcza się myśl całéj społeczności. Gadasz, bredzisz, bajesz w swoich pogadankach a ludzie czytając, śmieją się cichaczem z twéj dziecięcéj wiary w potęgę dziennikarskiego pióra. To pragnienie zdobycia fortuny łatwym sposobem, ze starszych przechodzi na dzieci i wsane w ich krew, przypina się do każdéj ich myśli, do każdego przedsiewzięcia jak wygłodzona pijawka, wywołując niezadowolenie, zazdrość i ciągłe wyrzekanie na przeciwność losu. Dziatki wychowane w takiéj stękaninie, cóż dziwnego że znów karmią niemi następne pokolenia i że skutkiem tego każdy najdrobniejszy atomek powietrza, drzy jękiem ludzkiéj niedoli? Dzieci są zwykle tylko echem zdań starszych i rozumowań, tych zmień pojęcia, a nowe pokolenie odrazu stanie się trzeźwem w pojęciach i w wyobrażeniach.

Weredyk umilkł, a ja sobie pomyślałem, że i szyderstwo choć kole nie jest bronią do odrzucenia. Mantyka widać że myśl tę wyczytał z mojéj twarzy bo uśmiechnął się i rzekł:

— Widzę żem ci niechcący znowu dostarczył materjału do tygodniowéj pogadanki. Wypisz ją więc kiedy taka twoja wola, tyle już wydętych pęcherzy fruwa po nad naszemi głowami, rumocząc i dudniąc zamkniętym w nich grochem, to jeden jeszcze więcéj ani zaszkodzi ani pomoże. Dodaj jednak w końcu, że gawędka twoja o porządku, niezmiernie okazała się wpływową. Z łokciowych bowiem pajęczyn w sieniach porobiły się sążniowe, ćwierć calowa warstwa kurzu urosła na calową, a zamiatanie schodów tygodniowe, zmieniło się na miesięczne.

Ach! jak ty szczęśliwy jesteś mogąc publicznie przemawiać!

Z ostatniem słowem uprzykrzony gaduła oddalił się, oglądając z uśmiechem którego nigdy nie zapomnę.

DO MŁODEJ DZIEWICY

(*z W. Hugo.*)

Ty co nie wiesz jak piękne są dziecinne lata,
Nie zazdrość nam o! dziecię trosk naszej starości,
Gdzie serce często bywa w niewoli u świata,
A śmiech stokroć smutniejszy niźli łzy młodości.

Wiek wasz tak nieoględny za błyskotką wzdycha!
Leci szybko jak wietrzyk przez obszary pola,
Jakby odgłos radosny co w dali ucicha,
Jak ptak, którego w morze zapędzi swawola.

O pozwól niech powoli myśl twoja rozkwita!
Używaj pory wiosny i poranku życia;
Dni twoje jakby z pączków korona uwita;
Nie pobudzaj zawcześnie kwiatu do rozwicia.

Niech lata płyną! los Cię jak i nas przeznacza,
Do cierpień bez nadziei co dumnie taimy.
Do przyjaźni fałszywéj co nas przeistacza,
Do rozkoszy, na które z litością patrzymy!

Smiej się jednak nie badaj co dla Cię los kryje;
Uśmiechem czarne chmurki spędzać z czoła trzeba,
Niech w oku jak w spokojnem zwierciadle odbije.
Pogoda twojéj duszy i pogoda nieba!

Witold Chłopicki.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

Liczne pieśni u mazurów i rusinów wskazują (1) że wianek weselny bez kaliny obejść się nie może, albowiem ona to jest znamieniem dziewiczości panny młodéj. Także krasę świeżego lica, porównywają często do czerwonéj kaliny (ma się rozumieć kiedy ma owoce, które są pięknéj krwisto-czerwonéj barwy, przyczem i jéj liście nieco czerwienieją) i gładkie dziewczęta kładąc je przy swych czerstwych policzkach, zapytują, czy ich rumieniec trwać będzie długo. Nawet całą swą postać lubią porównywać z kaliną, a podług starych krakowskich i ruskich podań, zakochane dziewczęta, umierając przed ślubem, zamieniają się w kalinę. Powieści i piosenki ludowe z tych okolic opowiadają, jak kochanek nie mogąc otrzymać ręki swéj ulubionéj, życzy jéj, żeby się zamieniła w kalinę.

Nadto tkwi wiara, że kalina przyłożona do serca rozkochanego i zbolałego, koi te cierpienia. I na tem to wszystkiem opierając się, powstała owa powszechnie znana śpiewka, tak ze swéj rzewnéj treści, jako też i prześlicznéj a tkliwéj melodji, która przez to każdemu tak do serca przypadła:

Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu listki kąpała i t. d.

(Słowa Teofila Lenartowicza, muzyka ś. p. Ignacego Komorowskiego.)

Kalina rzeczywiście jest najpiękniejszym ze wszystkich dzikich krzewów krajowych, tak ze względu swych bardzo szerokich liści, jako i białych kwiatów. Postrzegłszy ją tylko raz w jakim gaju rosnącą, to już jakby mówiła: jestem pierwszą tutejszą pięknością, tyle mam wdzięków najpiękniejszéj z dziewic wiejskich. A ponieważ podług wyobraźni wszystkich prawie ludów, śmierć na tym świecie, nie jest zupełną śmiercią, ale przejściem do lepszego życia, sadzi przeto lud nasz kalinę na grobach młodo zmarłych dziewcząt, dając tem znak, że żyją, i corocznie jak owa kalina młode i świeże swe listki roztaczają.

Kalina i w naszych ogrodach po kląbach jest nie małą ozdobą, wraz ze swą ogrodniczą odmianą (Boule de neige, *Viburnum Opulus roseum*), która tworzy kwiaty w postaci kuli, śnieżnéj białości.

(d. c. n.)

(1) K. W. Wójcicki, wielce zasłużony pisarz w literaturze ojczystéj, zbierał wszelkie podania o roślinach na dawnéj Rusi i Mazowszu, a umieścił je w 2-m tomie swych Zarysów domowych, wydanych w Warszawie 1842 r.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)



Młoda kobieta zbudziła się nazajutrz w dziewiczym swoim pokoju. W starym ogrodzie ojczystym ptaszki śpiewały pod oknami, rozrzewniły ją serdeczne te dobrze znane jéj głosy, dziecinne przypominające lata. Sen kilko-godzinny pokrzepił jéj siły, odegnała smutne myśli, wstała i ubrawszy się poszła powiedzieć dzień dobry matce. Zastała ją jeszcze w łóżku. Nie zadługo obiedwie przechadzały się po tarasie lipowym, kwiecień chylił się ku końcowi, świeża wonna zieloność roztaczała się pod ciepłem słonecznem, roje muszek i owadów brzęczały wśród roztwierających się kielichów róż, wśród piramid kwitnących bzów i zwieszających się gron szczodrzenicy. Przechadzały się milcząc, po niejakimś czasie, młoda hrabina, widząc smutne zamyślenie matki, wzięła ją za rękę mówiąc:

Nie smuć się, matko droga!... znowu jak dawniéj jesteśmy razem.... w ukochanem naszem wiejskiem zaciszu ... nie smuć się.... bądź spokojna.... będziemy szczęśliwe.

— Matka spojrzała na nią, przytuliła do piersi, i całując z gwałtownem jakiemś uniesieniem: O! dziecko moje, ty jesteś aniołem! zawołała.

Obecność p. Des Rameures zmuszała je do ciągłéj na siebie baczności. Nie lubił on nigdy p. de Camors, i tak na deputowanego jak i na siostrzeńca, przyjął go raczéj z poddaniem niż z zadowolnieniem. Trzeba więc było starać się aby nigdy nie dowiedział się iż wypadki aż nadto usprawiedliwiły jego niechęć. Des Rameures był człowiek nadzwyczaj zacny, ale otwarty, szczery, aż do szorstkości, nienawidzący pół-środków, i gdyby tylko domyślał się postąpienia p. de Camors, byłby niezawodnie nadał mu rozgłos, czyniący niemożliwem wszelkie w przyszłości pojednanie się małżonków. To też tak przy nim jak w obecności osób obcych, matka i córka zachowywały nieprzeniknioną przezorność, nie wyjeżdżały niemal z domu, co łatwo dało się tłómaczyć stanem zdrowia młodéj hrabiny.

Pani de Tècle wyrzucała sobie z goryczą nieszczęście córki, i wśród zwalisk przeszłości i teraźniejszości szukała troskliwie jakiejś deseczki ocalenia na przyszłość. Pod strasznym wpływem pierwszego wrażenia, jakie musiało wywrzeć na niéj przewrotne postępowanie p. de Camors, z przerażeniem odsuwała myśl, aby córka jéj miała kiedy powrócić do męża. Powoli jednak zaczęła się zastanawiać: czyby rozłączenie nastąpiło skutkiem dobrowolnego zezwolenia lub powagą prawa, w każdym razie wyszłaby na jaw skandaliczna tajemnica, a wtedy niechybnie pociągnęłaby za sobą nieobliczone straszne następstwa, a w najlepszym razie wykopałaby nieprzebytą otchłań między małżonkami. Tego też właśnie starała się uniknąć, bo myśląc i przemyśliwając nad tem wszystkiem, ukazał jéj się nareszcie charakter p. de Camors jeśli nie w lepszem, to przynajmniéj w prawdziwszem świetle. Choć sama czysta i obca wszelkiemu złemu, p. de Tècle znała jednak świat i życie, a bystra jéj przenikliwość odgadywała czego nie wiedziała. Zaczęła więc pojmować powoli potworną niemoralność hrabiego, a jednak mimo to nie zwątpiła o poprawie. Wiedząc że w niedalekiéj przyszłości hrabina zostanie matką, liczyła że miłość dla dziecka i jego pieszczoty zapełnią obecnie boleśną w jéj życiu próżnię, a może Bóg pozwoli że ten zakład tak nieszczęsnego związku, zdoła kiedyś połączyć stargane jego ogniwa.

Objawiła córce swoje myśli, obawy, nadzieje, dodając: Postradałam niemal prawo dawania ci rad, moje biedne dziecię, mówię ci więc tylko cobym zrobiła na twojem miejscu.

— Więc i ja postąpię tak jak ty byś postąpiła, matko droga.

— Namyśl się jednak dobrze, kochana Marjo, bo stanowisko jakie chcesz przyjąć jest pełne goryczy i boleści. Ale niestety! cokolwiek wybierzemy, zawsze czeka nas tylko gorzka boleść i walka!...

W skutku téj rozmowy, po tygodniowym pobycie na wsi, pani de Tècle, zgodnie z uznaniem córki, napisała następujący list do p. de Camors:

„W odpowiedzi swéj dałeś mi pan do zrozumienia że wracasz wolność żonie, jeśli tego żąda. Nie żąda i nie wolno jéj żądać tego, bo ma obowiązki dla dziecka, które nazwisko pana nosić będzie, i nie chcę aby z jéj winy zmaza jakaś ciążyła na niem. Dla tego uważa że miejsce dalszego zamieszkania jest jedynie właściwe w domu jéj prawego małżonka. Nie lękaj się żadnych z jéj strony wyrzutów, obie umiemy cierpieć w cichości. Proszę jednak na wszystko bądź dobrym dla niéj i o ile można oszczędzaj jéj boleści. Teraz zostaw jeszcze kilka dni spokoju, a potem napisz aby przyjeżdżała lub sam przyjedź po nią.“

Eliza de Tècle.

List ten wzruszył głęboko p. de Camors, bo pomimo całego stoicyzmu, jednak od chwili wyjazdu żony nie zaznał zupełnego spokoju umysłu. Niepewność jest największem z nieszczęść. Nie mając od ośmiu dni żadnéj wiadomości, nie było przypuszczenia któregoby nie tworzył, nie było ciosu któregoby nie czuł wiszącego po nad sobą. Spokój i sen odbiegły go prawie zupełnie, miał jednak siłę okazywać się spokojnym i wesołym i p. de Campralon nie domyślała się niczego. Ta duma i męzki hart charakteru były nieodzowne, aby dziwny ten człowiek mógł jeszcze szanować sam siebie.

Oto odpowiedź jego na list p. de Tècle, który stał się dla niego arką wybawienia z okropnéj niepewności:

„Zgadzam się najzupełniéj na wspaniałomyślne postanowienie córki pani i przyjmuję je z najgłębszą wdzięcznością i uszanowaniem. Nie upadłem jeszcze tak nisko, aby nie umieć ocenić takiéj szlachetności i bądź co bądź jestem i będę zawsze największym jéj i pani przyjacielem.“

Camors.

W tydzień późniéj, zawiadomiwszy pierwéj o swoim przyjeździe, p. de Camors przybył wieczorem do p. de Tècle. Młoda jego żona, więcéj cierpiąca dnia tego, nie opuszczała swego pokoju; potrafiono uniknąć świadków pierwszego widzenia, które jakoś poszło łatwiéj niż myślano. Pani de Tècle i jéj córka, dostrzegły w liście hrabiego jakiś cień szlachetności, dozwalający nie tracić nadziei lepszéj przyszłości. Duma i godność osobista kazały im unikać jakichś głośnych scen, powitały go więc zimno ale spokojnie. Twarz i całe obejście hrabiego tchnęły wyrazem cichego ale poważnego smutku, pełnego zarazem godności i wdzięku. Z początku mówiono tylko o zdrowiu hrabiny; następnie zwolna rozmowa weszła na tor swobodniejszy, o nowościach bieżących i okolicznościach miejscowych, poczem p. de Camors pożegnał matkę i córkę, pod pozorem znużenia podróżą i wyszedł nie probując podać im ręki.

Taki był początek nowych, wyjątkowych stosunków, jakie odtąd miały jedynie istnieć, między panią de Camors i jéj mężem. Łatwo było omamić świat wiedzący dobrze że p. de Camors nie lubił nigdy żadnych publicznych objawów swych uczuć, tak więc zimna, ale uprzedzająca grzeczność jego dla żony, nie zwracała bynajmniéj uwagi, jako zupełnie zgodna z jego usposobieniem.

Dwa dni zabawił w Reuilly; przez cały ten czas p. de Tècle oczekiwała daremnie jakiego usprawiedliwiającego wytłómaczenia, o które nie chciała pytać, ale usłyszeć miała nadzieję. Jakież to były owe straszne okoliczności, które do tego stopnia zawładnęły wolą p. de Camors, iż kazały mu pogwałcić najświętsze uczucia i obowiązki? I tonąc myślą w otchłaniach téj tajemnicy, pani de Tècle trafiała na ślad prawdy, przypuszczając, że p. de Camors musiał spełnić niecny swój uczynek pod wpływem i groźbą strasznego jakiegoś niebezpieczeństwa, dla ocalenia honoru, majątku, a może nawet życia p. de Campralion. W oczach matki było to bardzo słabe wprawdzie, ale zawsze jakieś wytłómaczenie. A może znowu zaślubiając jéj córkę, postanowił zerwać te haniebne stosunki i jak się to często zdarza, fatalność jakaś zaplątała go w nie na nowo. Przyjazd p. de Camors nie rozjaśnił więc bynajmniéj jéj bolesnych przypuszczeń, starała się jednak przedstawiać córce, najwięcéj pocieszające prawdopodobieństwa.

Postanowiono że pani de Camors pozostanie na wsi, dopóki stan zdrowia się nie polepszy, tylko mąż prosił usilnie aby zechciała zamieszkać w jego pałacyku Reuilly, który odnowił i urządził z wielkim smakiem. Czując słuszność tego wymagania, p. de Tècle porzuciła swe stare zamczysko i przeniosła się z córką do skromnego pałacyku, będącego z dawien dawna własnością naddziadów matki p. de Camors, którego cienisty szpaler, granitowe balustrady, labirynta i staw czarny, ocieniony stuletniemi sosnami opisaliśmy w jednéj z poprzedzających części.

Znalazły tu obiedwie najmilsze, najdroższe wspomnienia swoje, bo ten tak długo niezamieszkany pałacyk, ten gęsty otaczający go lasek, ten smutny staw czarny i samotna nimfa, wszystko to składało niegdyś ulubiony ich światek, ramy wspólnych marzeń, legendę ich lat dziecinnych, poezję ich młodości. Wprawdzie smutno to i bardzo smutno, powracać do miejsc w których byliśmy szczęśliwi i spokojni, z oczami pełnemi łez, z sercem zwiędłem i złamanem boleścią, z czołem pochylonem burzami życia, ale ukochani ci powiernicy przeszłych naszych radości, zawiedzionych nadziei, rozwiałych marzeń, są prawda boleśnymi świadkami, ale zarazem i przyjaciołmi, kochamy ich i wierzymy że nam odpłacają wzajemnością. To też biedne te kobiety, przechadzając się po lasku, po nad wodą, błądząc w pośród tych samotni z nieuleczonemi ranami w sercu, zdawały się słyszeć przyjazne, współubolewające głosy, oddychać jakiemś ożywiającem współczuciem.

Ale najstraszniejszą próbą jaką pani de Camors musiała przetrwać w tem nowem życiu, któremu miała odwagę się poddać, było bez zaprzeczenia przyjmowanie pani de Campralion, i wychodzenie z nią tak uprzejme, aby mogło oszukać oczy jenerała i argusowe oczy świata. Była do tego przygotowaną, pragnęła jednak odwlec o ile można bolesne to przejście. Stan jéj zdrowia mógł służyć za wytłómaczenie że tego lata nie pojechała do Campralion, oraz że nie opuściła swego pokoju, kiedy jenerał z żoną przybyli do Reuilly. Tak więc p. de Tècle przyjmowała ich sama i potrafiła utrzymać się w granicach najuprzejmiejszéj grzeczności. Z swéj strony, p. de Campralion która już wtedy wiedziała o wszystkiem, umiała doskonale odegrać swoją rolę, tak więc jenerał nie powziął ani cieniu podejrzenia.

Upłynęło lato. P. de Camors często przyjeżdżał na wieś, utwierdzając za każdem widzeniem, nowy stosunek swego pożycia z żoną. Stosownie do swego zwyczaju, cały sierpień przepędził w Reuilly, i biorąc za pozór stan zdrowia hrabiny, i on także w tym roku rzadziéj daleko jeździł do pałacu Campralion.

Za powrotem do Paryża otrząsł się z doznawanych wrażeń, i odzyskał powoli swój obojętny egoizm i wrócił do swoich nawyknień. Zaczynał zapominać o swoich, a tym bardziéj, o żony cierpieniach i po części, w gruncie duszy niemal winszował sobie nowego położenia, w jakiem go postawił przypadek. W obecnym stanie rzeczy zachowywał wszelkie korzyści, bo nie potrzebował oszukiwać żony, ponieważ wiedziała o wszystkiem, co było nie małą dla niego ulgą. Co do niéj, mówił sobie, ponieważ niezadługo zostanie matką, zatem w dziecku swem znajdzie pociechę i rozrywkę, a nadto umyślił otoczyć ją jak największemi względami i troskliwością. Tak więc będzie mogła być szczęśliwa, przynajmniéj o tyle co trzy części kobiet na świecie.

A więc wszystko będzie dobrze, rzucił się znów w wir rozkosznego życia, a pyszny z kochanki której mógłby mu pozazdrościć nie jeden monarcha, marzył tylko o powiększeniu swego ogromnego dziś już majątku, widząc w oddali tryumfy ambicji i władzy, jako ostatnie uwieńczenie jego świetnego zawodu.

Podając za powód różne dość wątpliwe przyczyny, w ciągu całéj jesieni raz tylko był w Reuilly, pisywał jednak dość często i p. de Tècle odpowiadała mu krótko, donosząc o zdrowiu żony.

W końcu grudnia, pewnego poranku odebrał depeszę telegraficzną, donoszącą mu o chorobie żony. Że zaś gdzie tylko chodziło o obowiązek grzeczności lub konwencyonalności światowéj, p. de Camors nie wachał się nigdy, widząc więc że nie ma czasu do stracenia natychmiast wsiadł do powozu i kazał pędzić do dworca kolei. Na szczęście pociąg jeszcze nie odszedł.

Kilka mil francuzkich oddzielało ostatnią stację od Reuilly, a że p. de Tècle całkiem zajęta chorobą córki, zapomniała wysłać powóz i konie do stacji, tak więc p. de Camors musiał poprzestać na prostéj bryczce i nędznych szkapinach, jakie można było w miejscu wynająć. Była to boczna, źle bardzo utrzymana droga, i dla tego zaledwie o trzeciéj rano zziębły i znużony, wysiadł przed bramą wiodącą do wiązowéj alei.

Wielkim krokiem pośpieszył ku domowi, serce i wszystkie pulsa przyspieszonym biły mu tentnem. Wszedłszy do pałacu kazał zaraz zawiadomić panią de Tècle o swojem przybyciu. Przybyła niebawem: spojrzawszy na jéj twarz zmienioną i załzawione oczy:

— Czy Marji grozi niebezpieczeństwo, zapytał żywo?

— Może nie ma niebezpieczeństwa ale bardzo cierpi.

— Czy mogę pójść do niéj?

Nastało milczenie; bolesne wrażenie zasępiło czoło pani de Tècle, spuściła oczy, nareszcie odrzekła:

— Jeśli pan wymagasz tego koniecznie.

— Nic, nie wymagam. Więc sądzisz pani że obecność moja może jéj zaszkodzić?..

Słowa te wyrzekł trochę drżącym, niepewnym głosem.

— Lękam się zbyt silnego wzruszenia, odpowiedziała.

— Ale przynajmniéj.... może miło jéj będzie wiedzieć że tu jestem... że przybiegłem natychmiast.... że jéj nie opuszczam...

— Powiem jéj to wszystko.

— Dobrze więc odpowiedział. Skinieniem głowy pożegnał p. de Tècle i wyszedł do ogrodu. Tu mimo zimna i wilgoci aż do rana błąkał się po ulicach; a jakże to gorzkie i smutne myśli przesuwały się w jego głowie. Nie tylko obecność jego była zbyteczną, ale nadto budziła obawy, nie tylko nie dawał żonie opieki ani pociechy, ale nadto stał się dla niéj niebezpieczeństwem i do już przebytych nową dorzucał boleść. Czuł się jakby poniżonym, wrodzona szlachetność i ludzkość głośno dopominały się o swe pogwałcone prawa.

Nareszcie około ósméj rano, ukazanie się p. de Tècle przerwało bolesne jego rozmyślania, pobiegł ku niéj a ona poważnym i spokojnym głosem zawiadomiła go, że Bóg dał mu syna.

— Jakże się ma Marja, zapytał wzruszonym głosem.

— Dobrze odpowiedziała, niezadługo będziesz mógł ją odwiedzić.

W pół godziny późniéj ukazała się znowu, wołając: Panie de Camors! — a gdy przybiegł do niéj, rzekła drżącemi ustami i przerywanym głosem: Nie zechcesz zapewne narazić ją na jakieś przykre, bolesne wrażenie...

— Ach! okrutnie mnie pani karzesz, odrzekł przytłumionym głosem.

Westchnęła. — Proszę pana rzekła, pierwsza weszła i wchodząc pierwsza na schody, otworzyła mu drzwi pokoju żony i odeszła.

Wszedłszy, spostrzegł zaraz wlepione w siebie spojrzenie młodéj kobiety. Bledsza i bielsza niż otaczające ją koronki, siedziała na łóżku, na wpół leżąc i trzymała na ręku swe śpiące dziecię. Z głębi tego gniazdeczka utkwiła w męża swe wielkie czarne oczy, dzikim jakimś błyszczące blaskiem, wyrażającym zarazem radość i jakby straszne przerażenie.

Stanął o kilka kroków od łóżka i witając ją najlepszym swoim uśmiechem, rzekł słodkim głosem: — Tak byłem niespokojny! — tak bolałem nad tobą, Marjo!

— Dziękuję odpowiedziała, słabym zaledwie dosłyszanym głosem; patrząc na niego ciągle z jakimś błagalnym wyrazem przerażenia.

— Czy jesteś teraz choć trochę szczęśliwsza? zapytał.

Młoda matka zwróciła gorączkowe wejrzenie na spokojną twarz dziecięcia, potem spoglądając nagle na męża: Wszak nie zechcesz téj jedynéj pozbawić mnie pociechy? zawołała.

— Nigdy! nigdy! odpowiedział wzruszony.

I gdy wymawiał te słowa oczy jego się zaćmiły i z niewymownem zdziwieniem poczuł łzy płynące po twarzy. Wtedy sam nie wiedząc co robi, nagle przysunął się do łóżka, pochyliwszy się pochwycił wiszący róg kołdry, przycisnął doń usta i co prędzéj wybiegł z pokoju.

Tak więc, w swéj strasznéj, zawsze niemal zwycięzkiéj walce, jaką człowiek ten staczał nieustannie z naturą i z prawdą, raz nareszcie został pokonany. Trudno jednak wyobrażać sobie, aby charakter tak silny i tak do gruntu skażony mógł tak łatwo przerobić się, a choćby tylko widocznie poprawić, w skutek jednego przelotnego wrażenia. To też niezadługo wrócił do swéj zwykłéj, samolubnéj obojętności.

Cały tydzień przepędził w Reuilly i z przyjemnością spostrzegł pewną zmianę, tak w obejściu p. de Tècle jak w ogóle w stosunkach domowych, były teraz widocznie mniéj naprężone i zimne. Powróciwszy do Paryża, zaraz z najtroskliwszą starannością zajął się zaprowadzeniem potrzebnych zmian w urządzeniu pałacu, aby przysposobić jak najokazalsze i najwygodniejsze pomieszczenie, dla młodéj matki, któréj przybycia wraz z synem spodziewał się za kilka tygodni.

CZĘŚĆ PIĄTA.

Po powrocie do Paryża i do domu męża, pani de Camors spotykała co krok bolesne wspomnienia przebytych cierpień, połączone z przewidywaniem smutnéj przyszłości, ale odtąd już nie była sama ze swem cierpieniem, miała cel życia, dziecię będące jéj pociechą i szczęściem. Wśród nieustannych smutków i ciągłéj obawy nowych bolesnych wzruszeń, biedna matka nie mogła sama karmić syna, ale za to całe dnie spędzała przy jego kolebce, z obawy aby mamki więcéj od niéj nie ukochał. A ona tak potrzebowała być kochaną, tak kochała to dziecię, jedyną dziś nadzieję szczęścia na ziemi, to dziecię tak piękne, bo podobne do ojca.

Zapragnęła zjednoczyć wszystkie uczucia i myśli, w przywiązaniu do téj ukochanéj, słabiuchnéj istoty i początkowo zdawało jéj się że dopięła tego celu. Sama podziwiała spokój z jakim spoglądała na panią de Camprallon przy pierwszem z nią spotkaniu, bo żywa jéj wyobraźnia wyczerpała już naprzód wszelkie boleści i smutki, mające stanowić wątek jéj nowego życia. Lecz gdy ocknęła się nieco z otrętwienia, w jakiem pogrążyły ją nieustanne cierpienia i troski, gdy oswoiła się z wrażeniami macierzyństwa, wtedy w sercu matki odezwało się serce żony i postrzegła z przerażeniem jak bardzo kochała swego powabnego i strasznego zarazem męża.

Pani de Tècle przyjechawszy do Paryża, dwa miesiące zabawiła u córki, ale następnie musiała wracać na wieś. Na początku jesieni, pani de Camors napisała do matki list wiernie przedstawiający jéj uczucia i zwrot, jaki wtedy przybrały jéj stosunki domowe. Opisawszy szczegółowo zdrowie i piękność synka swego Roberta, dodała:

„Ojciec jego nie przestaje być dla mnie takim jak go widziałaś; zawsze stara się ile może oszczędzać mi przykrości i boleści, ale widocznie fatalność któréj dał się opętać, ściga go zawsze pod jedną postacią. A jednak, matko droga, nie rozpaczam o przyszłość, bo nadzieja wróciła do mego serca, od chwili kiedy zobaczyłam łzę w jego oczach. O tak! miejmy nadzieję iż zabłyśnie dzień w którym odda mi swe serce, choćby tylko dla miłości syna, którego, nie wiedząc o tem, zaczyna kochać powoli. Przypominasz sobie, że z początku droga ta dziecina była mu zupełnie obojętną, kiedy zastał Roberta na moich kolanach, witał go zimno i powiedziawszy: Dzień dobry odchodził co prędzéj. Miesiąc temu, dobrze pamiętam datę, powiedział po raz pierwszy: Dzień dobry, mój synu.... jakiś ty ładny! i pocałował go w główkę. Czyż to mały postęp?. A teraz powiem ci co się stało wczoraj. Drzwi pokoju Roberta były otwarte, wchodzę po cichu, i oto, matko moja, jaki widok przedstawia się moim oczom. Pan de Camors stał pochylony zupełnie nad kolebką, uśmiechając się słodko do wyciągającego doń rączęta dzieciny. Postrzegłszy mnie zarumienił się mocno, wierzaj mi nie było to przewidzenie, i rzekł tłómacząc się: Drzwi były otwarte.... więc wszedłem.... Nic nie szkodzi, odpowiedziałam.

Dziwny bo czasem bywa teraz p. de Camors, przekracza względem mnie zakreślone i konieczne granice, nie tylko jest grzecznym, uprzejmym, ale wyraźnie stara mi się przypodobać. Mój Boże! dawniéj podobne z jego strony usiłowanie, byłoby dla mego serca niebieską, ożywiającą je rosą, dziś przykrość mi prawie sprawiają.

Wczoraj wieczorem znowu inna pamiętna mi data, moim zwyczajem usiadłam po obiedzie do fortepianu, p. de Camors czytał gazety, siedząc przy kominku. Mija godzina o któréj zwykle wychodzi, i widzę z zadziwieniem że nie rusza się z miejsca. Spoglądam na niego ukradkiem: nie czyta, nie śpi, utonął w myślach. Czy jest co nowego w gazetach? Nie, nie ma nic. Uderzam jeszcze kilka akordów, wstaję i idę do pokoju syna. Rozbieram go, ściskam, całuję, usypiam i nareszcie powracam do salonu: pan de Camors nie ruszył się z miejsca. I zaczyna rozmawiać ze mną coraz nowe dając mi pytania: Czy dawno miałaś wiadomość od matki? jak się miewa? Czy byłaś u pani Jaubert? Czy czytałaś *Przegląd* — widać było wyraźnie iż pragnie dłuższéj rozmowy. Dawniéj, za podobny wieczór, oddałabym pół życia i wtedy pragnęłam go daremnie... dziś dopiero dostaje mi się w podziale, kiedy doprawdy nie wiem co z nim robić.

„Ale bądź spokojna, droga matko moja! nie zapominam twéj rady, nie chcę zniechęcać téj pierwszéj, choć słabéj oznaki przychylności p. de Camors; robię więc wesołą minkę, każę lepiéj niż zazwyczaj oświetlać salon, rozmawiam z największą uprzejmością, bez zalotności jednak, bo wszak prawda matko, że w mojem położeniu byłaby poniżającą. Dość że rozmawiamy wesoło, on śpiewa parę piosneczek, potem ja coś zagram — raz usiadł przy moim stoliku i narysował wzór wiosennego ubrania dla Roberta— a raz nawet zaczął mówić ze mną o polityce. Nie umiem ci wypowiedzieć, matko ukochana, jaką mi to sprawiło radość; z kolei wytłomaczył mi swoje stanowisko w izbie, i tak zeszło do dwunastéj. Gdy północ wybiła, zaczynam być zwykle milczącą— postrzegłszy to, p. de Camors wstaje: Czy pozwolisz mi uścisnąć dłoń twoją? — I owszem. Dobranoc ci, Marjo! — Dobranoc!

„Ale nie lękaj się, matko ukochana, czytam w twojéj myśli i widzę że się obawiasz grożącego mi tu niebezpieczeństwa, bądź spokojna, wykazałaś mi je, a zresztą zdaje mi się że i samabym je odgadła. Bądź spokojna, powtarzam. Każdy podobny krok jego serdeczną powitam radością i z całéj duszy zachęcać będę, ale nie poczytam go zbyt śpiesznie za nawrócenie na dobrą drogę i powrót do mnie. Codziennie dziś na świecie odkrywam niepojęte dla mnie wypadki, ja nigdy nie upadnę tak nizko, i w pośród wszystkich otaczających mnie prób i boleści, pozostanę zawsze czystą i dumną, bo sama pogardziłabym sobą, gdybym mogła kiedykolwiek stać się przedmiotem chwilowych fantazji p. de Camors. Kto upadł tak nizko, nie poprawi się w dniu jednym, jeśli więc kiedykolwiek zapragnie szczerze powrócić do mnie, musi pierwéj dać mi niezbite dowody nawrócenia.

(d. c. n.)
